

Na tropie Doyle'a

Serce wybijało niespokojny rytm, ciepła krew przetaczała się przez ciało, w głowie uderzenia serca brzmiały niczym grzmoty, na czole perlily się kropelki potu. Nie mógł wykonać żadnego kroku. Artur czuł, jak paraliżuje go strach. To nie miało się tak skończyć! Plan był idealny i w żadnym wypadku nie przewidywał, że wydarzenia potoczą się tak niefortunnie. Pomyłka nie była brana pod uwagę. Zmełł w ustach przekleństwo, mimo zaćmiewającego umysł strachu nie zapomniał, gdzie się znajduje. Przymknął oczy, policzył do dziesięciu i wziął głęboki wdech. Na języku poczuł posmak kurzu i starego papieru. Wyprostował zgrabione plecy i przykrył rosnącą panikę pancerzem pewności siebie.

Rozejrzał się, czy nikt przypadkiem nie zauważył jego życiowej porażki. Żadnych postronnych świadków. Znajdował się między dwoma wysokimi na ponad trzy metry regałami. Wykonane były z ciemnego drewna i, mimo że miały już ponad kilkadziesiąt lat, nadal wyglądały na mocne i wystarczająco silne, żeby nie ugiąć się pod ciężarem wiedzy poprzednich pokoleń. Zupełnie inaczej niż ludzie. Na podłodze znajdowała się czerwona wykładzina w żółte cętki, które zapewne kiedyś były białe. Odwrócił się i ruszył w kierunku, z którego przyszedł. Tak mu się przynajmniej zdawało. Biblioteka była ogromna, a jej plan przypominał labirynt. Poza tym sam fakt, że biblioteka posiadała mapę, świadczył o tym, jak nietrudno było się tu zgubić. W dziale, w którym obecnie się znajdował (filologia duńska), kurz pokrywał nawet dywan. Nie zauważył swoich śladów na wykładzinie, więc zawrócił, drogą dedukcji dochodząc, że przyszedł jednak z drugiej strony. Ale po drugiej stronie również nie znalazł swoich śladów w warstwie kurzu. Czuł, jakby stary budynek naigrywał się z niego. Warstwa szarego pyłu leżała nienaruszona z każdej strony. Jakim cudem? Nie wiedział, ale nie miał czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Taktyka zaczerpnięta z „Jasia i Małgosi” jednak nie przyniesie korzyści. Wściekł się na siebie. Właśnie kolejny punkt planu zawiódł. Był świadom każdej upływającej minuty. Czas się kończył. Musiał podjąć jakąkolwiek decyzję, żeby ruszyć z miejsca, żeby mieć jeszcze szansę. Zdecydował się pójść w prawo, następnie skręcił w lewo, minął cztery regały i znów skręcił w prawo. Znalazł się w dziale prasy przedwojennej. Tutaj kurzu było już znacznie mniej. Próbował odtworzyć w pamięci mapę budynku, ale z marnym skutkiem.

– Dobrze. Myśl. Czym może być ten znak? – mruzczał do siebie, mijając kolejne działy prasy, w końcu znów trafiając na książki. Spojrzał na zegarek. Pozostało piętnaście minut. Zacisnął szczękę i przyspieszył kroku. W głowie powtarzał słowa usłyszane jeszcze niecałą godzinę temu: „Arthur Conan Doyle stworzył ponadczasową postać Holmesa – detektywa i geniusza w jednym. Wcielcie się w postać Sherlocka i rozwiążcie zagadkę, która do tej pory nie została rozwiązana i niech ściśle związany z nią znak, który przykrywał życie jego twórcy, stanowi dla was podpowiedź. Znajdźcie nieoczywiste rozwiązanie, bądźcie wszechstronni. Macie godzinę. Ten, kto odnajdzie to, czego szuka, wygra.”

Pierwszą myślą, jaka zaświtała mu wtedy w głowie, była wizja książki „Znak Czterech” i już miał pobiec jej szukać, kiedy zdał sobie sprawę z jawnej prowokacji. Zbyt oczywiste, a zresztą to, czego szukał, miało odnosić się do samego Doyle'a, a nie do wykreowanego przez niego bohatera. Postanowił, że uda się do działu historycznego,

szukając wzmianek o Doyle'u na półkach dźwigających tomy dotyczące XIX wieku, ponieważ – jego zdaniem – biografie, w sposób oczywisty również odpadały. To byłoby za proste. Poza tym życiorys jednego ze swoich ulubionych pisarzy znał na pamięć. Był przekonany, że obrał dobrą drogę, ale znalazł się w sali tej przeklętej filologii duńskiej! I miał blade pojęcie, jak w ogóle się tam znalazł.

Kluczył pomiędzy regałami, aż stanął na rozdrożu. Po lewej znajdował się dział historii współczesnej, a po prawej dział geodezji. Spojrzał znów na zegarek. Pięć minut. Już miał kierować się na lewo, licząc na cud, kiedy cud nadszedł. Olśnienie! Skręcił w prawo i zaczął rozglądać się między półkami. Jest! Wziął w drżące palce karteczkę z nakreślonym symbolem, włożył do kieszeni. Przeszedł za regały. Czas mu się kurczył. Musiał natychmiast znaleźć wyjście! Dotarł do ściany budynku. Ktoś na górze musiał nad nim czuwać. Zaczął biec wzdłuż ściany. Słyszał jedynie odgłos swoich ciężkich kroków. Jednak po chwili zaczął rozróżniać również głosy innych uczestników. Jedna minuta. Przyśpieszył. Słyszał, jak pan Maurycy zaczyna odliczać ostatnie sekundy do końca. Dziesięć, dziewięć... Wbiegł do działu literatury pięknej. Już blisko. Osiem, siedem, sześć... Minął fantastykę i literaturę młodzieżową. Pięć, cztery, trzy... Wypadł z zakrętu. Dwa... Stanął zdyszany przed starszym panem w kraciastej koszuli.

– Jeden. – Pan Maurycy, dyrektor biblioteki, spojrzał na Artura z grubych szkieł swoich okularów i uśmiechnął się ciepło. – Gratuluję wszystkim, którzy zmieścili się w czasie. Swoje zdobycze pokazujecie w kolejności przybycia.

Artur zauważył, że obok niego stoi jeszcze dwóch kandydatów. Niewielu, biorąc pod uwagę, że startowało ich dziesięciu. Pierwszy odezwał się wysoki, kościsty chłopak o niezwykle zielonych oczach i burzy poskręcanych loków w kolorze drewna, z którego stworzone były regały.

– Moim zdaniem rozwiązanie zagadki było aż nazbyt oczywiste – głos miał wysoki, nosowy i protekcyjny. Zza pleców wyjął egzemplarz „Znak Czterech”. Zamilkł i z wyczekiwaniem wpatrywał się w pana Maurycyego. Ten westchnął jakby rozczarowany i zaprzeczył ruchem głowy, następnie przeniósł spojrzenie na kolejnego chłopaka. Niski szatyn wyglądał na mocno zdenerwowanego. W rękach trzymał książkę o pierwszej wojnie światowej.

– Doszedłem do wniosku, że... – urwał jakby nagle zwątpił w swój pomysł.

– Tak? – pan Maurycy cierpliwie czekał na odpowiedź.

– Że takim znakiem mogło być piętno pierwszej wojny światowej – powiedział już trochę pewniej. Tym razem pan Maurycy również niemo zaprzeczył.

Spojrzał na Artura, a kiedy zauważył, że w ręku nie trzyma żadnej książki, uśmiechnął się lekko.

– A ty? – bez słowa wyjął z tylnej kieszeni niewielką karteczkę, a następnie podał mu ją. Dyrektor przyjrzał się jej uważnie. – Zdradzisz mi, w jaki sposób udało ci się ją znaleźć?

– Zmierzałem w stronę historii XIX wieku, kiedy nagle znalazłem się w dziale filologii duńskiej – na to stwierdzenie pan Maurycy uśmiechnął się ze zrozumieniem i pokiwał głową.

– Próbowałem jeszcze odnaleźć zaginiony dział, ale zgubiłem się zupełnie. W pewnym momencie trafiłem na rozdroże. Do wyboru miałem historię współczesną oraz geodezję.

Wtedy mnie olśniło. Tajemniczy znak odnosił się do wolnomularzy, do których Arthur Conan Doyle należał.

– Rozwiniesz swoją myśl?

– Znakiem masonerii jest węglownica. Zbyt oczywiste byłoby szukać odpowiedzi w książkach z nią związanych. Idealnie „nieoczywista” była geodezja, czyli dziedzina, w której owa węglownica służy do wykonywania pomiarów – zakończyłem swój wywód. Spięty czekałem na werdykt. Pan Maurycy spojrział na kartkę z wymalowanym symbolem, a następnie na mnie. Odwrócił się na pięcie i ruszył na zaplecze, rzucając jedynie przez plecy:

– Dostałeś tę pracę. Zaczynasz w poniedziałek o ósmej. Nie spóźnij się.

Już prawie całkiem znikł w mroku zaplecza, kiedy dodał jeszcze:

– Przekażcie reszcie kandydatów, że zapraszam częściej do biblioteki, ona nie straszy...